

TYGODNIK KATOLICKI

PISMO RELIGIJNE DLA ZIEM ZACHODNICH

Rok VI

Gorzów n/W., niedziela, 9 września 1951 r.

Nr 33

W. Turski.

POGODA DUCHA

Często zdarza się nam spotkać z opinią, że człowiek naprawdę głęboko myślący musi być zasadniczym pesymistą. Motywuje się to poczuciem nietrwałości ludzkiego istnienia na ziemi, nietrwałości ludzkich wysiłków i zabiegów, nietrwałości ludzkiego szczęścia, a zarazem przykrym niewątpliwie faktem, że mimo wszelkich usiłowań ludzi szlachetnych i wychowawczych instytucji moralnych co krok napotykamy na złość, podłość czy małość ludzką. Mówi się przy tym, że człowiek wesołego usposobienia umięjący dostrzec i docenić wartość radości życia, to krótkowidz pojmujący życie i świat niesłychanie powierzchownie i naskórkowo.

Znany aforyzm francuski powiada, że nie należy brać wszystkiego tragicznie, ale trzeba brać wszystko poważnie. I tutaj jak się zdaje, leży sedno zagadnienia. W myśleniu nierozróżnianiu między jednostronnym tragizmem — dla prawdziwego katolika konsekwentny tragizm będzie zawsze nie do przyjęcia — a trzeźwym, obiektywnym stwierdzeniem, że w życiu dobro i zło są przemieszane nieraz aż nazbyt skomplikowanie, że istnieje i wielkość i małość ludzka, że fakt uznania ostatecznego i pełnego szczęścia tylko po śmierci nie wyłącza uczucia radości i szczęścia doczesnego.

Wydaje mi się, że każda filozofia wyrzeczeń, a taką filozofią jest bezwątpienia katolicyzm ściągając na siebie zarzuty o ograniczenie i tak już z natury rzeczy ograniczonych możliwości zdobycia szczęścia przez człowieka, tu na ziemi.

I odwrotnie. Każda filozofia głosząca „wolność“ od surowych norm i zakazów etycznych — zyskuje opinię żądania troski o szczęście człowieka. Nieporozumienie bynajmniej nie przypadkowe.

Nietrudno każdemu z nas zdobyć przekonanie, że los człowieka na ziemi nie jest łatwy ani słonecznie jasny. Każdy z nas żyje krótko, różnica kilku czy kilkunastu lat niewiele tu znaczy, z upływem każdego miesiąca, dnia, godziny, minuty — zbliżamy się nieuchronnie ku chwili, kiedy raz na zawsze rozstaniemy się z tym światem. To poczucie krótkotrwałości naszego życia, — jak mityczny nieraz miecz Demoklesa zdaje się wisieć nad naszymi głowami. Jedyną nicią powstrzymującą ów miecz od upadku na nasze głowy, jest uczucie podświadomej nadziei „mimo wszystko“ nadziei zresztą uwarunkowanej naszą niewiedzą co do tego, jak będzie wyglądało nasze jutro. Potrafimy przewidzieć na długą przyszłość ruchy ciał niebieskich, zmiany atmosferyczne, czy skomplikowane procesy chemiczne w laboratoriach — ale na to proste pytanie: jak będzie wyglądało „moje“ jutro? — odpowiedzieć bodaj nigdy nie zdołamy.

Cóż dziwnego, że na takim gruncie psychologicznym rodzi się poczucie pesymizmu, beznadziei, osamotnienia. Poczucie to ugruntowane jest wzmagającym się w miarę pogłębiania się doświadczeń życiowych, przeświadczeniem, że nazbyt niestety często człowiek jest sługą własnych popędów a nie ich panem.

Wiadomo od dawna, że nie ma gorszej niewoli jak postępowanie według własnego widzimisię. Jest to wolność czysto fikcyjna, złudna, nie wyzwalająca istotnych wartości jednostki i zapału ludzkiego. Wiadomo dobrze, i aby to uznać nie trzeba być koniecznie katolikiem, że jedyną drogą ku lepszemu jest stałe przezwyciężanie oporów wewnętrznych i zewnętrznych — walka z własnymi słabościami, walka z oporami przyrody, walka ze słabością i małością własnego otoczenia ludzkiego. W tej walce o lepsze — jasne i pewne normy etyczne są niezbędne.

Musimy się zatrzymać nad jednym jeszcze pojęciem losu ludzkiego. Wychodząc z założenia, że w gruncie rzeczy ludzie pozostali takimi samymi, że najszlachetniejszy nieraz poryw ducha ludzkiego gasi małość i podłość innych, że krótkotrwałość naszego życia i nieświadomość tego, co nas czeka po śmierci — prowadzą konsekwentnie ku poczuciu rozpacz; zwiątpienia, beznadziei, osamotnienia, i tragicznego bezsensu na-



STOLICO MADROSCI

naszej ziemskiej tułaczki — filozofia ta jako cel jedyny stawia człowiekowi nakaz wierności samemu sobie, to znaczy odrzucenie nadziei na szczęście pozagrobowe i w pewnym sensie „zbawienia się” doczesnego bez Boga, bez religii. „Wierność samemu sobie” — to brzmi szlachetnie, ale jeśli założymy przy tym, że życie nasze nie ma sensu celowości, urzeczywistnienie tego nakazu niebardzo rozumiemy.

Na innym biegunie stanęły te filozofie, które głoszą, że jedyną, a raczej główną przyczyną zła, cierpienia i krzywd ludzkich są złe warunki ustrojowe, niewłaściwy podział materialnych dóbr. Filozofie te stoją na stanowisku, że szczęście doczesne jest osiągalne i że tylko to szczęście jest csiagalne. Stawiają one człowiekowi cel bezwzględnie piękny i szlachetny: zbudowanie tu na ziemi takiego ustroju gospodarczo-społecznego, w którym będą zredukowane do minimum ludzkie bóle i cierpienia fizyczne i duchowe. Świadomość krótkotrwałości życia ludzkiego filozofie te usiłują przezwyciężyć nakazem solidarności, międzyludzkiej, przeświadczeniem, że nasza praca i nasze wysiłki są fundamentem szczęścia przyszłych pokoleń. Zatem swoisty heroizm.

Naszym zdaniem — chociaż najbliżsi ostatnio scharakteryzowanej filozofii — i jej opinie są niewystarczające. Są po prostu niepełne, bowiem zubożają naturę człowieka o cały wymiar nadprzyrodzonej. Jako katolicy, wiemy, że życie ludzkie nie kończy się z chwilą ustania pracy serca i płuc i ostygnięcia ciała.

Nie możemy się pogodzić z zamykaniem całego losu, człowieka w obrębie doczesności.

Jeśli chcemy zasługiwać na miano katolików, nie wolno nam być pesymistami. Naszą postawę filozoficzną określić trzeba jako filozofię optymizmu heroicznego. Heroizm bohaterstwa, nakaz heroizmu czyli bohaterstwa tkwi głęboko u źródeł nauki Chrystusa i Jego wskazań etycznych. Czyż nakaz ciągłego doskonalenia się i przezwyciężania własnych słabości jest czym innym jak nakazem heroizmu? Katolicyzm jest religią wyrzeczeń, wymaga postawy heroicznej, bohaterskiej. Mówią niektórzy, że Kościół zraża wielu nadmierną jakoby surowością swych nakazów i zakazów. Ale to właśnie oznacza, że decyzja stania się katolikiem wymaga przezwyciężenia się, wymaga dokonania skrupulatnego rachunku własnych sił i pragnień, wymaga świadomego aktu woli i nie jest łatwym uleganiem nawykowi wychowania czy tradycji. Wstąpienie do Kościoła nie narzuca się, o wstąpieniu do Kościoła decyduje każdy sam indywidualnie. Ale wstąpienie to zobowiązuje.

Dlaczego jednak optymizm? Pisaliśmy wyżej o przesłankach natury obiektywnej, które skłaniają nas do oddania się uczuciom zwątpienia, rozpacz, osamotnienia, bezcelowości i bezsensu naszego istnienia na ziemi. Wydać się może banałem powiedzenie, że wiara w przyszłe życie pozadoczesne, wiara w nieśmiertelność duszy te przesłanki musi złagodzić. Powie niejeden: cóż mi za pociecha, że kiedyś gdzieś będę szczęśliwy, podczas gdy dziś...

Problem nie jest prosty i paroma ogólnikami zbyć się go nie da. Najpierw nie wydaje mi się słusznym powiedzenie, że ludzkość nie posunęła się od wieków naprzód w przeżywaniu nakazów etycznych, że tak jak dawniej byli, tak i dzisiaj są grzesznicy i zbrodniarze, że byli i są ludzkie łyzy, cierpienia, krzywdy i bóle.

Postęp etyczny ludzkości jest — twierdzą — faktem niespornym. Ze wyrobiliśmy sobie pojęcie praw i wolności jednostki, a z

drugiej strony, że wyrobiliśmy pojęcie solidarności społecznej, że wypracowaliśmy wysokie wyobrażenie o wielkości i godności każdego człowieka a z drugiej strony doszliśmy do przekonania, że jednostka ma obowiązek współpracować z innymi dla dobra wspólnego — trudno zresztą poszczególne pozycje wyliczać kolejno — to napawa nas otuchą, że nie stoimy w miejscu, ale idziemy — nawet w porządku doczesnym — ku lepszemu.

Źródłem optymizmu (pogody ducha) katolickiego jest wiara w celowość urządzeń boskich tutaj na ziemi, w sensowność na-

szego istnienia. Tylko w walce, tylko w przezwyciężaniu oporów wewnętrznych i zewnętrznych można ocenić wartości na drodze ku wieczności. Ale ta próba wartości nie wyklucza pogody ducha, ani szczerej radości życia.

Poczucie, że jesteśmy na ziemi z woli Boga, że piękno świata dla nas zostało stworzone niech będą dla nas podstawą do optymizmu, a postulat heroicznego przezwyciężenia własnych słabości gwarancją woli dotarcia do Celu Przedwiecznego.

ŹRÓDŁA WIARY

ŚW. JAN EWANGELISTA

W spisach apostołów podanych przez trzech poprzednich Ewangelistów znajdujemy dwóch braci: Jahu-ba, zwanego później większym, i Jana. Pochodzili oni z Betsaidy nad jeziorem Genenezaret, gdzie ojciec ich, Zebedeus, prowadził większe przedsiębiorstwo rybackie. Matka Salome należała do grona niewiast, które swymi jałmużnami utrzymywały Mesjasza i Jego uczniów.

Jan początkowo należał do uczniów św. Jana Chrzciciela. Chrystus nazywa go razem z Jakubem Boanerges, tj. synami gromu dla ich ognistego temperamentu. Przybrani do grona Dwunastu należą wraz z św. Piotrem do uczniów, którym Zbawiciel okazywał szczególne zaufanie. Byli obecni przy wskrzeszaniu córki Jaira, na górze Tabor, w Ogrójcu. Św. Jan najmłodszy był Chrystusowi. On jedyny z wszystkich uczniów stał pod krzyżem z Matką Najświętszą. Jemu to Jezus pozwolił spocząć podczas ostatniej wieczerzy na swym Boskim Sercu. Św. Janowi wreszcie Jezus powierzył w opiekę swoją najukochańszą Matkę.

Po wniebowstąpieniu Pana Jezusa św. Jan zatrzymał się nadal w Jeruzolimie i tutaj wraz z Piotrem i Jakubem Mniejszych kładł fundament pod budowę Kościoła św. Później przeniósł się do Efezu. Przypuszcza się, że miało to miejsce na początku wojny żydowskiej około roku 68 po Chrystusie. Za cesarza Domitjana został wygnany na wyspę Patmos i tam napisał Apokalipsę. Po objęciu rządów przez Nerwę w r. 96 pozwolono mu wrócić do Efezu. Umarł w pierwszych latach panowania cesarza Trajana, około roku 100 po Chrystusie.

Choć żaden z czterech Ewangelistów nie nazwał się w swym dziele po imieniu to jednak pewne właściwości stylu i treści, a zwłaszcza niektóre szczegóły, odnoszące się wprost do autora, pozwalają nam dokładnie określić jego osobę.

Autor czwartej Ewangelii musiał być żydem palestyńskim i naocznym świadkiem zdarzeń, które opisał. Zna on wewnętrzne uczucia Zbawiciela i pobudki Jego czynów, poufną rozmowę z Nikodemem i Samarytanką. Poczawszy od trzynastego rozdziału, w opisie raz po raz zjawia się uczeń, „którego miłował Jezus”. Z opisu ostatniej wieczerzy i ze świadectwa św. Łukasza wynika z całą pewnością, że był to św. Jan.

Św. Jan napisał Ewangelię dla kościołów Azji, żeby uchronić je przed herezykami, którzy zaprzeczali Bóstwa Jezusowi. Zna też trzy pierwsze Ewangelie. Prawie że nie powtarza zdarzeń w nich opisanych. Pragnie je uzupełnić i przedstawić to, czego w nich nie opisano. Temu celowi odpowiada też jednolity i świadomie ułożony plan dzieła.

Słowa i czyny są nierozdzielnie ze sobą spójne. Wszystko zaś jest ujęte w formę jednolitego, samodzielnego i tylko tej Ewangelii właściwego języka. W Ewangelii tej unosi się jakiś tajemniczy, dziwnie potężny a nieuchwytny urok. Jan na pierwszym miejscu podkreśla nie literę, lecz ducha i religijne znaczenie czynów i nauk ukochanego Mistrza. W Ewangelii swojej wzbił się on wyżej od swoich poprzedników. (K. Ł.)

Złote myśli

„Miłość Boska do stworzeń ma najgłębsze swe źródło w Boskiej dobroci, a nie w wartości lub zasługach stworzeń. Racja prosta jest ta, że wszystko od Boga pochodzi i nie ma wartości niezależnej od Boga... Miłość Boska jest miłością twórczą, nie zakłada wartości niezależnie od niego istniejącej, lecz ostatecznie tworzy wszelkie wartości. Bóg kocha wszelki byt jako Swoje stworzenie.” Ojciec Mateo.

O SZTUCE MIŁOWANIA

Szermuje się powszednio słowami: miłość, kochać, miłować. Używa się tych słów tak często i tak nieraz nie stosownie, że tracą one swą prawdziwą, głęboką wartość, stają się jakas mało wartą monetą obiegową. A tymczasem słowa te, a właściwie treść, która kryje się pod nimi, to coś najpiękniejszego, najgłębszego, najbardziej trwałego i wzniosłego w życiu ludzkim.

Jak mówi Ewangelia o Magdalenie, że przebaczył jej Bóg, albowiem „umiłowała wielce”...

Jakąże zatem siłą jest miłość, że staje się kompensatą za popełnione grzechy, za życie rozwiązłe, hulaszce, za bratanie ze złem?

Jakąże siłą wielką jest miłość, że wiara nasza, pełna i prawdziwa, właśnie na miłości się opiera?

Bóg jest miłością nieskończoną — mówimy nieraz. Do miłości Bożej uciekamy się w naszych kłopotach i strapieniach, błagamy tą miłość o wstawiennictwo.

Miłość to pojęcie bardzo szerokie. Mieści ono w sobie cały nasz stosunek do Boga, do bliźnich, do Ojczyzny, do idei, jaką wyznajemy. Jedno proste, krótkie słowo, a tyle pod nim można umieścić.

Ludzie próbują czasem, ba, nawet często, brukać to słowo. Miłością nazywają uczucia złe, występne, miłością nazywają zwykłą chuc, aby osłonić nią popełnianą zdradę.

A tymczasem miłość to uczucie, które zanika z tą chwilą, gdy przestaje być czyste, gdy się je czyni zbruka. Miłość bowiem nieodłączna jest od czystości. Od czystości myśli i czynu. Te dwie rzeczy pokrywają się ze sobą wzajemnie.

Miłość też może być różna. Istnieje hierarchia miłości. Inna jest miłość Boga, inna miłość Ojczyzny, a inna miłość człowieka do człowieka.

Najwyższą jest miłość Boga. Przez nią spełnia się też inna miłość — miłość Ojczyzny, miłość człowieka. Ten, kto kocha Boga, potrafi kochać swój kraj rodzinny, napewno potrafi kochać człowieka.

Na świecie dlatego tak często jest źle, że ludzie za mało mają w sobie miłości. Że stawiają zysk własny i zadowolenie własnego egoizmu nad miłość do bliźnich. Człowiek staje się wtedy człowiekowi wilkiem. Gdyż brak mu miłości. Gdyby na świecie zapanowała miłość powszechna, nie znalibyśmy wojen, nie znalibyśmy krzywdy, zło zanikłoby zupełnie. Ale miłość powszechna, to znaczy zlikwidowanie wyzysku, to znaczy zlikwidowanie dysproporcji posiadania, to

znaczy wyrównanie społeczne. A zbyt wielu jest takich, którym bardziej od bliźniego drogie są pieniądze, luksus, uciechy świata.

Czym bardziej ludzie zapominają o miłości, tym jest gorzej.

Będziesz miłował Pana Boga z całego serca twego, z całej duszy twojej i ze wszystkich myśli i ze wszystkich sił twoich — mówią słowa modlitwy. Żąda więc Bóg od nas miłości pełnej, ogarniającej nas całych, niepodzielną, bez reszty. Bóg nie znosi połowiczności, nie znosi, by zostawiano jeszcze i dla diabła ogarek.

To żądanie miłości Boga pełnej, bez reszty, nie jest ze strony Boskiej jakimś egoizmem, nie jest symbolem przesadnej miłości własnej. Realizacja tego żądania służyć ma tylko nam samym. Wypływa ono z wielkiej miłości Bożej ku nam. Kto bowiem miłuje Boga bez reszty, ten ma w sobie miłość dla wszystkiego, co wielkie i pięknie na świecie, ma miłość do każdego człowieka, ten bowiem stworzony przeciw został na obraz i podobieństwo Boże.

Bóg jest najwyższym dobrem.

Miłując Boga miłujemy Ojczyznę naszą, miłujemy bliźniego naszego. Nie ma w nas tedy egoistycznej miłości własnej. Dobro człowieka każ-

dego staje się równoczesne z naszym dobrem, staje się jednością.

Ale nasza miłość Boga jest często za mała. Ba, czasem umiemy czcić Boga, umiemy się Go bać, ale nie potrafimy Go kochać. A sama bojaźń Boża przestanie być przymusem, stanie się zaś czymś radosnym, bo realizując ją, wypełniamy jednocześnie przykazania miłości Bożej. Tu właśnie tkwi sens stosunku naszego do Boga. Tu tkwi istota katolicyzmu, religii, której kanonem najwyższym jest miłość.

Trzeba umieć szanować i cenić słowo miłość. Nie można posługiwać się nim lekkomyślnie i miano miłości nadawać rzeczom lub sprawom, które na nie wcale nie zasługują.

Miłość nie przychodzi sama z siebie. Trzeba ją w sobie pogłębiać, trzeba gorliwie pielęgnować, by wyrosła na kwiat bujny, a nie zmarniała w zapomnieniu.

W czym tkwi szczęście na ziemi? Gdzie mieści się sens naszego życia? — W miłości. W miłości Boga, w miłości człowieka.

Kto wykształci w sobie pełną, wielką miłość, ten uzyska poczucie szczęścia w takim stopniu, w jakim ono tylko jest tu możliwe do osiągnięcia. Bo bezmiar, pełnia szczęścia czeka nas dopiero w niebie. P.

Podwyższenie Krzyża św.

Krzyż Chrystusowy — to najdroższa i najświętsza relikwia. Na Krzyżu Syn Boży wisiał, cierpiał i konał, przez Krzyż i Mękę

Swoją świat odkupił i zbawił. Dlatego też oprócz uroczystego każdego roku uczczenia Krzyża świętego w Wielki Piątek, oprócz uroczystej rocznicy Znalezienia Krzyża Chrystusowego w dniu 4 maja, obchodzi Kościół św. 14 września jeszcze jedną świętą rocznicę — Podwyższenie Krzyża Św.

W roku 614 Chozroes król perski zdobył Jerozolimę i uwiózł relikwię św. w nadziei grubego okupu.

W 14 lat potem cesarz Herakliusz odebrał ją nietkniętą. Wróciwszy do Jerozolimy na własnych barkach uroczystie odniósł drzewo Krzyża Św. na górę Kalwarię, na którą niegdyś dźwigał je sam Zbawiciel.

To dało powód do ustanowienia uroczystości Podwyższenia Krzyża Św. w dniu 14 września, obchodzonej odąd co roku. Dzień zaś 4 maja przeznaczony został na obchód uroczystości Znalezienia Krzyża Św.

I od dnia 14 września 629 roku, wielu cudami zasłynęła i objawiła się moc Krzyża Świętego.

Większe części Krzyża Świętego, tj. relikwie znajdują się w Rzymie, a także u nas w Polsce, jak w Kieleckim na Św. Krzyżu, Lublinie, Warszawie. Mniejsze zaś częściczki — w maleńkich relikwiarzykach z największą czcią przechowywane, są w wielu bardzo kościołach katolickich.

Św. Cyryl Jerozolimski w 25 lat po znalezieniu Św. Krzyża powiada, że częściami tego Świętego Drzewa świat napelniony, i przyrównywa ten cud do owych chlebów, którymi Pan Jezus nakarmił pięć tysięcy ludzi na pustyni.

Najuroczystsza, liturgiczna część oddajemy Krzyżowi Świętemu w Wielki Piątek w procesji uroczystej i adoracji.

(Dokończenie na str. 298)

EWANGELIA

NA SIEDEMNASTĄ NIEDZIELĘ PO ZIELONYCH ŚWIĘTACH

Św. Mateusz 22, 35—46

Onego czasu: Przystąpili do Jezusa faryzeusze, i zapytał Go jeden z nich, uczony w Prawie, kusząc Go: Mistrzu, które jest największe przykazanie w Prawie? Rzekł mu Jezus: Będziesz miłował Pana Boga twojego ze wszystkiego serca twojego i ze wszystkiej duszy twojej i ze wszystkiej myśli twojej (Powt. Pr. 6, 5). To jest największe i pierwsze przykazanie. A drugie podobne jest temu: Będziesz miłował bliźniego twojego jako siebie samego (Kapl. 19, 18). Na tych dwóch przykazaniach całe Prawo zawisło i procey.

A gdy się zebrałi faryzeusze, zapytał ich Jezus mówiąc: Co sądzicie o Chrystusie? Czym jest Synem? Mówią Mu: Dawida. Rzekł im: Jako tedy Dawid w duchu zowie Go Panem, mówiąc: Rzekł Pan Panu memu, siadź po prawicy mojej, aż położę nieprzyjaciół Twoich podnóżkiem nóg Twoich. (Ps. 109, 1). Jeżeli więc Dawid nazywa Go Panem, jakże jest synem jego? A nikt nie mógł Mu odpowiedzieć słowa, ani też nie śmiał Go od onego dnia więcej pytać.

Św. Piotr Klawer Apostoł murzynów

(1581–1654)

Nie wiercie, że święci rodzą się jakoś takimi, że są produktem gotowym, że w każdym razie skazani są nieuchronnie, na świętość. Jak niepewne i chwiejne, były początki Klawerowego. Syn zubożałej rodziny szlacheckiej, został wysłany na naukę do kolegium jezuickiego w Barcelonie. Wrażliwy jak wielu młodzieńców poczuł pociąg do rodzaju życia swych mistrzów; ale wahał się. Nie mógł zdecydować się na wstąpienie do Jezuitów. W końcu wstąpił; i znów się wahał. Ale i on, jak Ksawery, w odpowiedniej chwili spotkał odpowiedniego człowieka, nie potężnego geniusza duchowego, jak św. Ignacy, ale starego braciszka Alonzo Rodriguez'a, odźwiernego w kolegium, do którego Piotr został wysłany na studia filozoficzne. Ten stary ekspedient, któremu zmarła żona i dzieci, nie stracił ani atomu dawnej siły przenikliwego charakteru i ognia hiszpańskiego. Rozmawiał nieraz z młodym studentem, którego same studia lekkiem przejmowały, o bohaterstwie życia na dalekich misjach w Indiach Zachodnich. I Piotr poprosił o wysłanie go tam. Zgodzono się na jego prośbę, ale przed wyjazdem miał otrzymać święcenia kapłańskie. Przerażony samą ideą życia poświęcenia i ofiary, tracący odwagę już po jego podjęciu, wzdrygnął się wobec przyjęcia nieodwołalnych święceń; w roku 1610, bez święceń wyjechał do Sewilly. Wolał raczej zostać bratem niż kapłanem; jeszcze w Ameryce losy jego były płynne; ale i tu spotkał odpowiedniego człowieka — O. de Sandoval, który pracował wśród Murzynów. Towarzystwo z O. Sandovaliem działało cuda. Klawer przyjął święcenia, prawie natychmiast zaczęła się jego heroiczna kariera, mająca trwać do późnego wieku.

Murzyni byli niewolnikami. Historia niewolnictwa, jako taka zawsze była okropna i okropny zawsze był handel niewolnikami. Stał się zwłaszcza takim, gdy zaczęła się konkurencja. Nie można wyjąć Anglii z tych okropności. Tanie importowane ręce były pożądane; kraje współzawodniczyły z sobą, aby uzyskać najkorzystniejsze umowy; ciała ludzkie stały się źródłem dochodów monopolistów kupujących tanio, a sprzedających drogo. Od roku 1713 Anglia była głównym posiadaczem. Przyszli czas, gdy Newport w Ameryce nazywał się „drugim Liverpool'em”. Bristol nie był lepszy. Dopiero w r. 1826 brytyjska Jamajka pozwoliła żenić się niewolnikom, o których mówiło się jako o „czarnym bydło”, pytając czy orangutan nie wystarczy na towarzysza czarnej kobiecie. W czasach Klawera kontrakty miała Portugalia. Niewolnicy, początkowo ofiary krwi i gwałtu, byli pakowani szóstkami ze związanymi szczykami i kostkami pod podkład, gdzie nie docierało ani słońce, ani księżyc, w zaduchu, do którego nikt nie chciał wsadzić głowy z obawy przed zemdleniem. Pożywieniem ich była kukurydza i woda, raz na dobę. Co trzeci umierał na pokładzie. Z transportu liczącego 500 ludzi zmarło jednej nocy 120. Ale zyski były tak kolosalne, że nawet w tych warunkach handel się opłacał. Niewolnicy przybywali umierający z głodu, pokryci ranami, na pół obłąkani, jedzący brud dla przyspieszenia śmierci, tak zapamiętale tęsknili za domem.

Wśród takich to ludzi Klawer pracował lat 38. Gdy okręt zawijał szedł do portu z lekarstwami, środkami dezynfekującymi i cytrynami. Brał zawsze z sobą tłumaczy potrzebnych ludziom, przerażonym wleś-

ciami, że krew ich ma być użyta do malowania żagli, a tłuszcz do smarowania bokiów okrętowych. Brał ich na podwórce, mył, opatrzył rany, przygotowywał posiłki, matkował po prostu na pół oszalałemu tłumowi. Słuchając mnie jakiś urzędnik kolonialny może zawoła: „Ach, jeszcze jeden sentymentalny misjonarz!” Darujcie, to niedorzeczność. Katolicy są realistami; takimi byli wówczas Hiszpanie i takim był Klawer. Dokładnie otaksował miłość, którą dla niego żył. Dokładnie ocenił ich pieśni, tańce, nałogi, ekstazy i orgie. Potrafił jednak osobą swą uspokoić cały biegający w szale tłum. Praca jego nie była na chybił trafił. Z leczeniem fizycznym szło zawsze w parze pouczenie duchowe. Kwaterna główna Piotra była zawsze w ruchu; nieustrudzona korespondencja, regularne podróże od wioski do wioski, gdzie sprzedawano ludzi; wpływ miał taki, że mógł przez wysłane zawiadomienie wstrzymać ucieczkę ludności spod wulkanu; „niech czekają, jutro nadejdę”. Nazajutrz przychodził, prowadził czarnych, drzących wciąż z przerażenia naokoło krateru i błogosławił go; nikt nie doznał krzywdy. Chwiejny młodzieniec stał się człowiekiem niezłomnym i chodził spokojny po krawędzi niebezpieczeństwa. W domu skoncentrował się na dwóch szpitalach: św. Sebastiana i św. Łazarza; ten ostatni był przeznaczony dla trędowatych. Nie zaniedbał żadnej pozycji — szarpie, bandaże, maści i materiałów na zasłony przeciw moskitom, patrzył jak chorzy zabawiali się rzucaniem kopieł, urządził dla nich koncerty i inne rozrywki; ale ci mądrzy ludzie wiedzieli, że były to tylko frendzle jego istotnego dzieła; wiedzieli, że był świętym i że sam kontakt z nim uzdrowiał. Krawędź jego saturny była zawsze w strzępach i porwano z niej paski; podpisy jego wycinano ze świadectw; nawet o włosy jego strzyżone przez fryzjera, o ręczniki krwią splamione podczas choroby ludzie walczyli. Byli pewni, że był on tym czym był — człowiekiem pełnym Boga.

Za służbą w szpitalach poszły więzienia. Wzywano go stale do asysty przy egzekucjach: wycierał mokre czoło kryminalisty i trzymał go, gdy zakładano mu stryczek na szyję. Raz, jeżeli nie więcej, stryczek pękł. Klawer trzymał przy sercu krzyczącego skazańca podczas gdy zakładano drugi powróż. Ten także pękł. Dopiero trzeci uśmiercił biedną ofiarę. Ale w książce pozostawionej w celi po wizycie św. Klawera skazaniec nabazgrał te słowa: „Książka ta należy do najszcześliwszego człowieka na świecie”. Nic dziwnego, że podawano kiedyś w radio opowiadanie historyczne i symboliczne, że gdy pewien służący wylał wodę, której Ksawery używał do chrztu do naczynia, w której leżały uschłe łodygi, nazajutrz zazieleniły się one i zakwitły.

W r. 1650 Klawer był stary i wyczerpany. Był to rok ulewnych deszczów i parnego gorąca. Zaraza przyniosła się z Hawany do Kartagenu. Jezuici rzucili się do nowej pracy. Klawer przypięty do konia odwiedzał jeszcze port, szpital i dom trędowatych. W ostatnich miesiącach był sam. Jezuici wracali z pracy wśród zarażonych i przerażonych tubylców tak wyczerpani, że mogli tylko od razu iść na spoczynek. Dla Klawera nie było to jednak tragiczne. Człowiek ten całe życie chciał samotności, myślenia i modlitwy, ale otrzymał od Boga rozkaz służenia, wykonywania maksimum dzieł zewnętrznych. Brzydził się taką pracą i kochał ją; przerażała go, a wykonywał ją z superheroizmem. W końcu otrzymał jednak samotność. Miał przy sobie jednego Murzyna, który nie wiedział czego potrze-

bować może biały człowiek, a ten biały nigdy o nic nie prosił, a co dopiero mówić o skardze. Klawer leżał cały dzień w okropnym upale wśród much i wstrętnych resztek pożywienia. Przed nim wisiał obraz Alonzo Rodriguez'a, braciszka z Majorki. Chciał służyć Chrystusowi i służyć Mu całkowicie. Spędził życie w samotności, ale nigdy w osamotnieniu — Chrystus, dusza i jego ja. Samotność, a nie nieludzkość. Prawie mdlał ze strachu przed swym zadaniem, ale spełnił go. W połowie lata roku 1564 Klawery powiedział, że umrze niebawem. W ciągu godziny całe miasto dowiedziało się o tym. Następcą Klawera był wyznaczony O. Diego de Farina. Klawer zaczął się do jego celi i ucałował mu stopy. Udzielono mu Ostatnich Sakramentów w dniu 7 września. Stracił przytomność; za chwilę miasto wiedziało już o tym i samotność zniknęła... Tłum obiegł kolegium — cisnęli się urzędnicy, wojskowi, świeccy i duchowni. Jezuici zagrodzili drzwi. Wyważono je. Słychać było jeden krzyk: „Chcemy widzieć świętego!” Tłum chciał obderzeć wszystko na relikwie. — Dzieci wypełniły ulice i nie chciały się ruszyć, wołają o Piotra Klawera. Potem przyszła nowa armia; przedzierając się przez gromady dzieci Murzyni chcieli się dostać do celi Klawera. Dopiero od północy z nieprawdopodobnym trudem oczyszczono dom. Między pierwszą i drugą w nocy we wtorek w dniu 8 września, w uroczystość Narodzenia Matki Bożej — Piotr Klawer umarł.

Podwyższenie Krzyża św.

(Dokończenie ze str. 297)

Jakąż cześć okazywać mamy Krzyżowi Świętemu, owemu krwawemu ołtarzowi, na którym Bóg-Człowiek zgładził nasze grzechy! — „Niechaj człowiek, upomina św. Augustyn, znaczą czoło krzyżem i nie wstydi się tego”.

Kto rozumie Krzyż, rozumie chrześcijaństwo. „Chwała Pańska” i „chwała Krzyża” wyrażają to samo.

Według upomnienia św. Cyryla powinni chrześcijanie przed każdym ważniejszym przedsięwzięciem znaczyć się znakiem krzyża. Także Aureliusz Prudentjusz poleca, abyśmy przed udaniem się na spoczynek robili na czole i piersiach znak krzyża, przed którym cofa się wszelkie zło; zwycięski krzyż przeraża złego ducha.

Pierwotna postawa przy modlitwie przypominała krzyż, to znaczy, modlono się z rozłożonymi rękoma i wyobrażano, jak mówi św. Andrzej, w ten sposób krzyż.

Czcijmy i kochajmy Krzyż Chrystusowy, ten znak naszej wiary świętej, znak naszego zbawienia i odkupienia.

Marian Jamrozik.

Zapisz się na członka

K. U. L.

ZAPOMNIANA PAMIĄTKA

W dniu 14 września klasztor świętokrzyski obchodzi wielki odpust. Ludzie z dalszych nawet okolic schodzą się na uroczystość, by się pomodlić przed krzyżem Zbawiciela.

Gdzież ten klasztor?

W powiecie kieleckim ciągnie się pasmo gór, zwanych Świętokrzyskimi; o 27 wiorst od Kielc wznosi się w tym pasmie szczyt, zwany Łysą, obok tego szczytu mieści się ten starożytny klasztor.

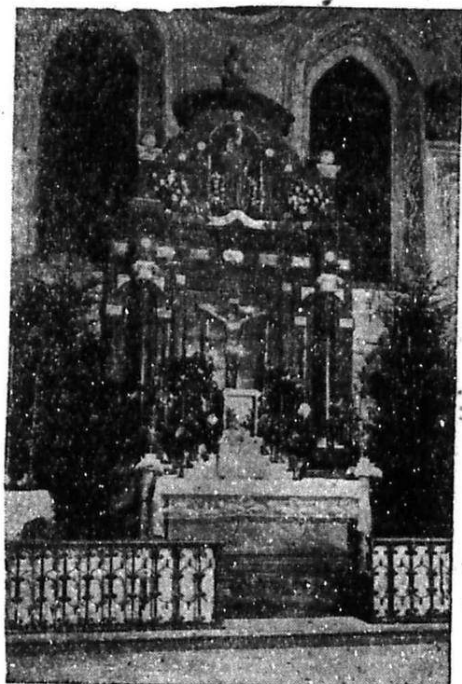
Pierwszą niewątpliwie o tym klasztorze wzmiankę mamy w dokumentach z 1166-7 roku, gdzie wspomniani są opaci z Łysej Góry. Podanie jednak głosi, że Emeryk, król węgierski, gościł w klasztorze Benedyktynów na Łysej Górze już w roku 1023 i że wtedy ofiarował zakonnikom znaczącą część drzewa Krzyża Św.; od tego czasu świątynię klasztoru nazwano kościołem Św. Krzyża, a pasmo gór, do którego Łysa Góra należy, Górą Świętokrzyską. W każdym więc razie kościół, klasztor i relikwiarz z drzewem Krzyża Świętego są bardzo dawne.

W r. 1260 Tatarzy, dostawszy się na szczyt góry, wymordowali wszystkich zakonników i klasztor złupili. Po tej klęsce opuszczony, długo był bezludny i dopiero Bolesław Wstydlawy osadził tu nowych zakonników, obdarzwszy ich licznymi przywilejami, a Leszek Czarny te przywileje potwierdził, jak również Kazimierz Wielki. Lecz po śmierci Kazimierza Wielkiego, w czasie bezkrólestwa książęta litewscy Lubart i Kiejstut, wracając z wycieczki pod Wiślicę, kościół świętokrzyski znów ograbili z bogatych sprzętów, a nawet drzewo Krzyża Św. zabrali; gdy jednak, według podania w drodze wóz, na którym relikwia się znajdowała, stanął, a konie i woły, zaprzężone do niego, padały, strwożeni Litwini odesłali na miejsce relikwię. Odtąd sława kościoła na Łysej Górze szeroko po kraju się rozniosła, a pobożność licznymi darami go wzbogaciła. Jagiełło z wielką był cziłą dla tego miejsca. Zwykle przed każdą wojną z Krzyżakami długie tutaj modły odprawiał i czynił publiczne pokuty, kościół blachą ołowianą obił, wewnątrz zaś pomalować kazał, co aż do r. 1777 dotrwało. Synowie jego i ich następcy również o kościele i klasztorze na Łysej Górze pamiętali; hojnie obdarzyli zakonników i wspomagali ich zwłaszcza, gdy zostali nawiedzeni klęską. A klęski nie oszczędzały świętego miejsca. Złupili je Szwedzi i Sasi, niszczyli pożary. W r. 1777 ogień strawił je tak, że ze wspaniałych gmachów same tylko rumowiska i popioły zostały; zakonnicy ledwie unieśli życie, drzewo Krzyża Świętego i bibliotekę.

O dawniejszej zatem budowie tego kościoła tylko z podań i rysunków możemy mieć wyobrażenie.

Skutkiem pożaru w r. 1777, gmach tak dalece okazał się zniszczonym, że go aż do

fundamentu rozebrać musiano. Na jego miejsce, staraniem Jana Nepomucena Niegolewskiego, ostatniego opata, stanęła nowa świątynia, mająca dwie szczytowe ściany i wyniosłe wieże z ciosu, ściany zaś boczne z cegły. Ukończoną została w r. 1806 i w tymże roku przez księdza Andrzeja Gawrońskiego, biskupa krakowskiego, poświęconą. Kaplica, w której się przechowywały relikwie Krzyża Św., uratowana wśród pogorzeł, jest dziełem dawniejszego czasu. Wzniósł ją w r. 1604 Mikołaj Oleśnicki. Gdy za czasów drugiej wojny szwedzkiej, w r. 1704 zrujnowaną i do szczytu zburzoną została poprzednia kaplica, opat Krystian Stanisław Mirecki przeniósł tu relikwiarz z drzewem Krzyża Św., odtąd też dawną swoją nazwę Kaplicy Oleśnickich na Kaplicę Św. Krzyża przemienił. Relikwiarz ów mieści się w ołtarzu, a ma kształt nie-



Ołtarz w kaplicy św. Krzyża, gdzie przechowywane są części św. drzewa.

wielkiego, podwójnego krzyża ze złota, prostego ale gładkiej roboty, z napisem na czarnej emalii, że sprawiony był w roku 1614 przez opata Bogusława Ragozewskiego. Umieszczonych jest w nim pięć sztuczek drzewa Krzyża Św., trzy części na trzech rogach krzyża, poniżej cały krzyż z tego drzewa wyrobiony, a pod nim część piąta w samej rękojeści, w formie kwadratowego słupka.

Dawniejsze zabudowania klasztorne są przy tej kaplicy. Krzyżowe sklepienia krużganków mają tę samą formę, jak w Wąchocku, gdzie w końcu dwunastego wieku stanęły. Przy zbiegu żebier sklepieniowych na ściany, umieszczone są tarcze z herbami Rzeczypospolitej, herby, Dębno, Topór, Prus, Jastrzębiec Poraj, wreszcie krzyż podwójny, będący znamię klasztoru. — Herby umieszczono tu niewątpliwie w piętnastym wieku.

Kiedy kościół odbudowano, Benedyktyni francuscy, przyjęci wówczas do klasztoru gościnnie, spalili cenną bibliotekę, której nie rozumieli. Jednocześnie inny jeszcze cios klasztor spotkał. Przy bibliotece znajdował się bardzo bogaty skarbiec, znany tylko najstarszym zakonnikom pod przy-



Widok na puszcę Żeromskiego otaczającą klasztor świętokrzyski.

sięga, że nikomu nie wydadzą wiadomości o nim. Gdy zatem księgi do nowej sali przenoszono i niszczone, posługacze znaleźli skrytkę i skarb wykradli. Część skarbu im odebrano, reszta zaginęła. Lecz i ta pozostała część była znaczna, gdyż na nią ułakomili się Austriacy, zabrali ją, płacąc zakonnikom odszkodowania rocznie 14.000 złotych polskich.

Gdy jeszcze zakonowi zabrano dobra, w gmachu, który mógł pomieścić 100 zakonników, kilku tylko zostało.

W r. 1814 było jeszcze na Łysej Górze pięciu Benedyktynów, pod zarządem opata Niegolewskiego, który umarł w cztery lata potem. Po zupełnym wygaśnięciu zakonników, rząd zaborczy umieścił w gmachach klasztornych instytucję karną dla księży, przeniósłszy ją tu z Łiszkowa w r. 1851. Kościół oddano pod zarząd osobnego administratora. Następnie gmach klasztoru przeznaczono na więzienie.

Wnętrze kościoła przedstawia się bardzo ładnie. Znajduje się tu siedem obrazów. Franciszka Smuglewicza, niestety, przez czas, wilgoć i nieumiejętne odnawianie, uszkodzonych. W Kaplicy Św. Krzyża widzimy grobowce fundatorów Mikołaja i Zofii Oleśnickich. W korytarzach klasztornych przechowuje się dwie tablice pamiątkowe: jedna mówi o budowie świątyni w r. 1806 i drugą wmurowano ku upamiętnieniu przeniesienia do wspólnego grobu w r. 1766 kości 1437 tutejszych zakonników, pomiędzy którymi miało być 28 opatów, i 275 przeorów. Dawniejsze nagrobki, których musiało tu być немало, po rozebraniu pierw-

(Dokończenie na str. 301)



Widok na klasztor świętokrzyski ze strony wschodniej.



Fasada południowa kościoła na Św. Krzyżu.

J A R Z E B I N A

Mieszkała u swego ojca, stolarza Macieja. Nazywano ją czarną Weronką dlatego, że miała ciemne warkocze, smoliste oczy i twarz tak smagłą, że wydawała się opaloną nawet w ciągu zimy. Lubili ją we wsi, starzy i młodzi, chłopcy i dziewczyny. Sklepi-karzowa mówiła nie bez słuszności, iż ścieżkę prowadzącą do maciejowego domostwa wydeptali sami przyjaciele Weroniki. Prawda! Kto nie znał jej we wsi, kto do niej nie spieszył i kim się nie opiekował! Dziećmi, opuszczonymi ludźmi, nawet kulawym psem i bezbronnym kotem, które gdzieś znalazła. Dziadkowi co śpiewał na jarmarkach uszyła koszulę, chorej Anastazji obkopała zagony, dożywała też biednych, zanosiła jabłka sierotom po szewcowej. Rzecz ważna: organiścina, osoba godna i surowa w sądach, nie tylko korzystała z jej usług, lecz ją gorąco chwaliła.

Istotnie Weronka pomagała komu tylko mogła. Nie narzekała nigdy na pracę. Miała zawsze czas.

— Dziwna z niej dziewczyna, wszystko by ludziom rozdała — mówił Maciej o jedynaczce. — Jej nieboszczka matka była też liściościwa, ale przecież nie tak! Nad każdym się ta mała lituje, każdemu by służyła, to nie ma sensu! Człowiek musi pomyśleć o sobie, a nie tylko latać za sprawami sąsiadów!

Sluchając ojcowskich słów, Weronka się śmiała.

— Albo ja nie dbam o siebie tato? O jej, jeszcze jak!

Chłopcy do niej lgnęli. Różni. Z miasta i ze wsi, dobrzy i niewiele warci, pracowici i lenie.

— Namysł się kogo wybierzesz Weronka — napominała ją chrzestna. — Weź sobie chłopca co będzie pracowity, uczciwy i ma dobrze w głowie.

— Już ja go sobie wybiorę.

— Et, gadasz. Lubisz się zabawić, tańczyć, że aż ci te czarne warkocze furgoczą w powietrzu, a jak byś mogła wyjść za jakiego chłopca uciekasz. Przecież dorosła. Masz dwadzieścia lat.

— Ja wiem, chrzestna — odpowiadała dziewczyna — ale moja godzina nie przyszła. Czekam.

Rzeczywiście czekała. Na Marcela. Znała się z nim od dziecka, widywała go kiedy pracował jako mechanik w państwowym majątku, spotykała go także potem u znajomych i na weseliskach. Ulubiła go sobie. Trudno kogokolwiek porównać z Marcelem, myślała, nie ma w całej okolicy drugiego takiego chłopca! A przy tym rozsądny, dobrze o nim mówią, i nawet ojciec, który często wyrzeka na młodych, kiedyś go wychwalał. Tylko czy ten miły, o niej, czarnej Weronce wspomina? Czy też ją sobie upatrzył? Tego nie była pewna, widziała bowiem, że umizga się do różnych panien, choćby do pięknej Lucji młynarzowej. A o niej czy myśli? O niej czy pamięta?

* * *

Weronka szła siedząc przy oknie, na którym rosły w doniczkach kwiaty, fukse o fiołkowych wisiorach i palające kule pelargonii. Odłożyła robotę, spojrzała na grządkę ogródka i bryzgi słońca mrowiące się pod jablonią, poczym pobiegła myślą za Marcelem. Gdzie jest? Co porabia? Widziała go tak dawno, wiosną, w Wojcieszyńcu...

Przypomniała sobie wszystko dokładnie. Odpust, plac przed kościołem, drzewa w mgle pierwszych lepkich liści, budki, stragany, rozhuśtany tłum ludzki. Piękny odpust. Wspaniały. Mieszkańcy wsi i miasteczka zbiegli się hurmem na uroczystość, tłoczyli się między stoiskami, przeciskali wśród furmanek, kramów, jazgocących kumoszek i biegających dzieci. Postrojone jak kwiaty dziewczęta jaśniały na tle ciżby, stawały oglądając kolorowe chustki, szeluszczące wstążkami, migocące lustra, ozdobki, paciorki. Tych ostatnich wisiały całe sznury; szklanych, porcelanowych, białych, przezroczystych, minających się tęczo-wo jak krople rosy.

Wśród dziewczyn oglądających kramy najwspanialszą bez wątpienia była Lucja młynarzówna. Dorodna i złotowłosa ubrała się na odpust w pyszny krakowski strój, miała przedziwnie wyszywany gorset, krasną spódnicę i fruwiąjące wstążki wokoło pulchnej szyi. Gdzież można porównać Weronkę czarnuszkę do tej okazałej panny o zaczepnych oczach, śmiałej i pewnej siebie. Szła roześmiana, wszyscy ją podziwiali, a obok niej, postępowal odświętnie ubrany Marcel. Mijała już maciejową córkę udając, że jej nie widzi, gdy Marcel huknął wesoło:

— A to się dobrze składa! Nie myślałem wcale, że cię tu spotkam, Weronko!

Dziewczyna stanęła w pasach. Miała ochotę powiedzieć, że i ona się cieszy, ale spojrzawszy na Lucję, zamilkła.

— Jaka strojna, bogata i dumna! — przebiegło jej przez myśl.

— Cóż, podobam ci się przebrana za krakowską dziewczkę? — śmiała się tymczasem Lucja wysokobrzmiącym śmiechem.

— Pięknaś...

Było słonecznie i ciepło. Strzępiaste obłoczki białeły na modrym niebie, plac mienił się pstrokacizną jak kwitnąca łąka. Marcel wyglądał radośnie. Zsunął czapkę na tył głowy, chodząc rozweselony między obu pannami, częstował je, śmiał się, opowiadał kawały. Było tak wesoło, że czarna Weronka nie tylko przestała lękać się Lucji, ale kogokolwiek na tym Bożym świecie!

— Ach jakie paciorki! — zawołała przystając nagle przed kramem. — Takie długie, że można się nimi omotać.

— Naśladowanie koralu — stwierdziła rzeczowo Lucja.

— Podobają ci się? — nachylił się ku Weronce Marcel.

— Pewnie, że podobają...

— A tobie Lucyjko?

— Owszem. Te czerwone są bardzo efektowne.

— Dobra! — uradował się chłopiec. — Dostaniecie ode mnie gościniec. Obie. Wyjeżdżam pod Tarnów w zastępstwie mechanika. To będzie jako pamiątka.

— Wyjeżdżasz na stałe? — strapiła się maciejowa córka.

— Tylko do końca lata.

— A więc pamiątka na dobrych kilka miesięcy — uśmiechnęła się Lucja.

— Na ile się wam podoba.

— Ja będę ciągle nosić paciorki — rzekła niegłośnie Weronka.

Trudno odgadnąć co Marcel w tej chwili pomyślał, gdyż nachylił się nad ladą i przedko bez targowania, kupił dwa długie sznury szkarłatnych paciorków.

— Dla ciebie Lucjo — zwrócił się ku dziewczętom. — Dla ciebie Weronko.

Spojrzał na nią wesołymi oczyma i dodał:

— A żebyś je tylko nosiła, żebyś je często nosiła, czarnuszk!

— Kiedy powrócisz, zobaczysz mnie w tych koralach.

— Na pewno?

— Powiedziałam...

Przypomniałszy sobie dawno wymówione słowa zrobiło się Weronce beznadziejnie smutno. Podniosła ręce do szyi jakby chcąc sprawdzić istnienie paciorków i jej dłonie opadły bezwładnie. Ach gdzie są jej koralety! — westchnęła. — Nosi je teraz bledziutka i chorowita Janka, wnuczka stróżowej Matyldy... Czarna Weronka nie może dotychczas zrozumieć, jak się to stało, że dała, że mogła dać podarek Marcela! Ale Janeczka była tak miserna, taka bardzo chora... Kochała Weronkę, wyglądała jej przyjscia, zdarzało się też, że nakładała jej paciorki na szyję wychudzonego ptaszka. Cieszyła się nimi, mówiła, że są wesołe, podobne do jarzębiny i że przyniosą jej szczęście. Jednak dziewczyna myliła się, gdyż oprócz talizmanu czerwonych koralu nie powracała do zdrowia. Traciła siły, kaszlała. Doktor przychodził do niej, kręcił głową, zapisywał lekarstwa, wreszcie oświadczył, że musi się leczyć w powietrzu wysokich gór. — Wtenczas Opieka Społeczna wysłała ją w Tatry.

W dniu kiedy chora miała opuścić swoich, Weronka pobiegła do niej na pożegnanie. Uściśkały się, poczym Janka spytała z napięciem:

— Jak myślisz „czarna“, prędko do was wrócę? Niedługo wyzdrowieję?

— Napewno niedługo. Prędzej niż się spodziewasz.

Wnuczka Matyldy uśmiechnęła się nieprzekonywująco. Pobawiła się chwilę paciorkami Weronki, które miała na szyi i rzekła z namysłem:

— Wiesz co „czarna“, nie oddam ci teraz koralu, ale z pewnością jak wrócę. Przecież to będzie tak prędko!

Milczenie. Usta chorej upadły w kształcie podkówki i odwróciła głowę. Chłapała cicho łzy.

— Placzesz?!

— Nie chcesz mi ich pożyczyć, nie chcesz! Przecież mówiłaś, że to na tak krótko!... Może wszystko nieprawda?

Co było odpowiedzieć! Weronka spojrzała w oczy dziecka, poważne i pełne łęku i rzekła:

— Dobrze, pożyczę. To niedługo potrwa.



Z zwyczajów weselnych w Wielkopolsce.
Przyjęcie u pana młodego.

I koniec. Nie miała teraz koral... Targnął ją żal. Doznała wrażenia, że oddała marcelowe paciorki, zerwała coś własnymi rękami i czegoś się jakby wyparła.

— Ale nie, tak nie jest! Tak nigdy nie było! — broniła się wstając z krzesła przy kwitnących fukcjach. — Niczego się nie wyparłam. Nigdy...

Stała przy wiszącym na ścianie lustrem i zataśknęła gwałtownie, za koralami rzędami, które tak niedawno spadały kołami na jej młode piersi. I pomyśleć, że Lucja młynarzówna nosi marcelowe paciorki!

Nosi je. Nie zdejmuję...

Minęło parę godzin. Wracła od sąsiadki drogą między polami. Dzień był pogodny, ziemia pachniała po niedawnym deszczu, stokrotki świeciły białymi gwiazdami nad rowem. W pobliżu maciejowego domu rosła jarzębina okryta przepychem szkarłatnych owoców. Weronka codziennie je widywała, a jednak stała dziś w zachwycie, jakgdyby poraz pierwszy dokładnie ją oglądając. Janeczka słusznie mówiła, że marcelowe paciorki podobne do jarzębiny!

Podsłoczyła do drzewa, nachyliła szybkim ruchem gałęzie i raz dwa, przedziutko, poczęła odrywać owoce. Ułożyła kulki równiutko, nawlecze je na nitkę i będzie miała trzy rzędy nie lada jakich koral! Dlaczego chce to zrobić? Nie wie. Może dla zabawy, a może dla przypomnienia sobie tamtych koral, bez których jej smutno?

Weszła pospiesznie do domu, rozłożyła jarzębinę na stole i ją nawlekać kulki, podobne do tych, które wisiały w kramach

Wojcieszyna. Okragłe, chłodne, gładziutkie... Przyłożyła je do policzków, przesunęła na nitce niby ziarnka różańca, włożyła na szyję przed lustrem.

— Jakie piękne, wesołe! — ucieszyła się. — I naprawdę podobne do tych z odpustowego kramu!

Odstąpiła od lustra, przeszła się po izbie, usłyszała czyjeś kroki w sieni. Czy ojciec wracałby już z lasu? — pomyślała kierując się ku drzwiom. Otworzyła je. Na progu stał wysoki mężczyzna z ogorzałą twarzą.

— Marcel!

— To ja Weronka, to ja! Wróciłem. Jechałem do Starej Woli no i tak po drodze...

Radość zaćmiła Weronkę.

— Wróciłeś!... To dobrze Marcel, to dobrze — mówiła zająkliwe.

Patrzyli na siebie milcząc. Najpierwszy odezwał się chłopiec.

— Pięknie ci w tej jarzębinie czarna Weronko. Jak pięknie! To zamiast koral, prawda?

Dziewczyna odparła nieśmiało:

— Nawlekłam je dla zabawy Marcel, tak sobie...

Lecz on spoglądał na nią baczными oczyma.

— Pewnie, pewnie. Zabawne...

I nagle z jakimś nieswoim uśmiechem:

— Pamiętasz Wojcieszyn? Odpust?

— Pamiętam, ciągle pamiętam, Marcel!

A twoje koral nosiłam codziennie!

— Masz je?

— Nie mam. Teraz w zeszłym tygodniu...

komuś je pożyczyłam. Nie dałam. Gdzież tam. Tylko pożyczyłam...

— Komu?

— Znałeś Jankę, matyldową wnuczkę? — pytała szybko dysząc.

— Znałem.

— Strasznie chudziutko zachorowało. Na płuca. Potem na ból krzyża. Wysłali ją na leczenie, a przed wyjazdem tak się prosiła, żeby jej pożyczyć paciorki... Mówiła, że jej przyniosą szczęście, że zaraz przyjedzie i odda... I wtedy, Marcel, wtedy, jak mogłam odmówić? Jak powiedzieć dziewczęciu, że nieprędko wróci? Jak nie pocieszyć biedactwa?

Chciała dłużej tłumaczyć, ale głos ją zawiódł i zmarszczyła się bezradnie, jak nieszczęśliwe dziecko.

— Słuchaj Marcel — szepnęła — jeśli nie wierzysz jak było, to spytaj starej Matyldy.

— Wierzę.

— Bo widzisz — próbowała się teraz uśmiechnąć — ja ciągle załuję tamtych czerwonych paciorków...

Chłopiec chwycił jej rękę.

— Ty jesteś dobra, czarna Weronko! Niech i to dziecko ma trochę radości... A co do jarzębiny, jest o wiele ładniejsza od tamtych koral.

— Na prawdę?

— Tak, o wiele piękniejsza.

Spoważniał i dodał po chwili:

— I jeszcze ci coś powiem...

— Co Marcel?

— Chcesz zostać moją żoną?

Rzuciła mu na szyję swe śniade ramiona.

Zapomniana pamiętka

(Dokończenie ze str. 299)

szego kościoła, użyte zostały jako materiał do późniejszych jego napraw. Znajdował się pomiędzy nimi nagrobek Jeremiego ks. Wiśniowieckiego, którego zwłoki w tym klasztorze spoczywać miały.

Lecz i ostatnia wojna nie oszczędziła starożytnego klasztoru.

Kiedy w październiku 1914 roku wojska austriackie i niemieckie pobite przez Rosjan pod Dęblinem, forsownie na południe się cofały, jakiś oficer austriacki założyć kazał materiał wybuchowy pod wysoką wieżę i wysadził ją w powietrze.

W czasie ostatniej wojny klasztor został obrzucony bombami i wreszcie wraz z dawniejszym wężeniem został przez hitlerowców zamieniony na obóz dla jeńców radzieckich.

Jeżeli jednak tylekrotnie burzony i palony klasztor zawsze pobożnością Polaków był odbudowany, to spodziewać się należy, że i obecne pokolenie nie pozwoli klasztorowi długo świecić ruiną, ale cześć dla cząstki drzewa Krzyża Św. przyniewoli chrześcijan do odrestaurowania tego starożytnego przybytku Pańskiego.



Na gołoborzach świętokrzyskich.

Msza św. w intencji chorych w Gorzowie

19 lipca w dzień św. Wincentego a Paulo, Patrona ubogich, chorych i opuszczonych, w Katedrze Gorzowskiej odbyła się uroczysta Msza św. w intencji chorych i starców, staraniem duchowieństwa i ofiarnych parafian.

Już od samego rana chorzy, kalecy i staruszkowie przychodzili do kościoła, a ciężko chorych przywieziono.

Im bardziej chorzy, nieszczęśliwi, tym bliżej chcieli być Jezusa ukrytego w Najświętszym Sakramencie.

Wielu też i zdrowych parafian wzięło udział w tej uroczystej Mszy św., łącząc się we wspólnej modlitwie.

Księża spowiadali.

O godz. 8 rozpoczęła się Msza św.

W skupieniu, jakby w radości cierpienia chorzy i starzy brali udział w Najświętszej Ofierze.

Na żadnej twarzy nie widać skargi ni bólu, wpatrzeni w Chrystusa ukrzyżowanego jakby zapomnieli o własnym cierpieniu.

Kazanie w czasie Mszy św. wygłosił ks. Wańkowski, zwracając się do swych „gości” mówił:

„Droży w Bożym sercu, Pan Jezus przyszedł poto na ziemię, aby zbawienie dać upadłemu człowiekowi, lecz nie tylko Pan Jezus odpuszczał grzechy — idąc czynił dobrze.

Przychodzili do Niego różni ludzie, a On boskim swym wzrokiem widział duszę pogrążoną w grzechach, widział też nędzę cielesną. „Wiara twoja uzdrowiła cię, odpuszczając ci się grzechy” — widział wielką ufność, nadzieję w tych zbolatych sercach.

Droży w Bożym sercu. Wiele nędzy, cierpień moralnych i fizycznych wali się nieraz na nas, zdaje się, że nie możemy zdobyć się na żaden wysiłek dźwignięcia się wzwyż.

Zdaje się, że człowiek tylko do cierpienia stworzony. Nie.

Bóg stworzył człowieka do wielkiej szczęśliwości. Pamiętajmy, że drogi do szczęścia są różne. Pamiętajmy, że każda droga woli Bożej prowadzi do Boga.

Czy radość, czy zawód życiowy nas spotka, umiemy powiedzieć: Bóg tak chce.

Może ktoś z was powie, że łatwo mówić temu, co nie wle, co to cierpienie co stałość, lecz wierzyć mi, nikt jak kapłan nie zdoła was zrozumieć, bo kapłan idzie śladami Chrystusa, spełniając Jego posłannictwo.

My kapłani modlimy się za was chorych, cierpiących; nie jesteście osamotnieni w Kościele Chrystusowym, lecz i wy jako cząstka tego Kościoła możecie wiele łask wysłużyć dla nas zdrowych.

W bezsennych nocach, pełnych bólu i cierpienia może nie jednemu powstać myśl: „Dlaczego muszę cierpieć tak strasznie, jaki sens cierpienia mojego?”

Droży w Bożym sercu, spójrzcie wtedy na Jezusa Ukrzyżowanego, na tę niewinną ofiarę prześlęganą za grzechy nasze, a ofiara waszego cierpienia nabierze znaczenia.

Jesteśmy ludźmi słabymi, upadamy pod brzemieniem naszych smutków, nieraz zdaje nam się, że opuścił nas Bóg, zapomnieli ludzie, rodzina nie okaże miłości, ktoś cierpkie słowo powie, lub wstydzi się chorego.

Miejcie wtedy szerokie serce przebaczenia.

Jako kapłan, sługa Ołtarza mam prośbę dziś do Was chorych. W cierpieniach swoich, w modlitwach swoich pamiętajcie o nas zdrowych; o kapłanach, byśmy pracowali według powołania i sił nam danych.

Ofiarujcie cierpienia i osamotnienia za parafian, by miłość i zgoda panowała, ustały obmowy i oszczerstwa.

Za Ojczyznę i dzieci Ziemi Polskiej, aby Matka Boża, nasza Pani z Jasnej Góry błogosławiła na każdy dzień trudów i zmagani naszych. Amen."

Chwila Podniesienia złączyła serca tych co cierpią i tych co patrzą bezsilni na cierpienia innych.

W Komunii św. przyszedł Pan Jezus sam ukość każdy ból, umocnić w łasce wytrwania na długie znów dni oczekiwania na Niego.

Po Mszy św. odbyło się błogosławieństwo Najświętszym Sakramentem. Następnie do ciężko chorych podchodził kapłan i każdemu z osobna błogosławił. Z oczu chorych spadały łzy przedziwnej radości.

W końcu ciężko chorzy otrzymali posiłek i rozdano paczki ze słodyczami.

A św. Wincenty patrzył z nieba „bystro a filuturnie spod krzaczastych brwi" i cieszył się, że w dniu Jego święta rozrzucone przez Niego ziarenka miłosierdzia nie obumarły na skalistej glebie twardych serc, lecz wydały owoc obfity. **ZI.**

Echa pielgrzymki do Wielenia

Jak rok rocznie, tak też ostatni odpust Matki Boskiej Wieleniejskiej cieszył się dużą frekwencją. W pielgrzymce parafii wolskiej wzięło udział około 500 osób. Między innymi w pielgrzymce pieszej wzięła udział starszka 74-letnia Maria Strażyńska z Chorzemina, która mimo podeszłego wieku szła pieszo 25 km w jedną stronę i wróciła z pielgrzymką pieszo następnego dnia.

Pielgrzymkę prowadził ks. Marian Marcinkowski z Wolsztyna, który sfotografował w drodze powrotnej pod figurą przydrożną w Wroniawach wyżej wymienioną starszkę, jako najstarszą uczestniczkę, oraz najmłodszych pielgrzymów 12-letnią Basię i 10-letniego Anzelma Weissów z Wolsztyna. **(ab)**

Kościół i świat

— 400-lecie Uniwersytetu Gregoriańskiego. Istniejący w Rzymie Uniwersytet Gregoriański obchodził w tym roku 400-letnią rocznicę swego powstania. Uniwersytet ten założony został przez Ignacego Loyolę w lutym 1551 roku jako tak zwane Collegium Rzymskie. **(L)**

— Zjazd lekarzy katolickich Japonii. W Tokio odbył się ostatnio zjazd lekarzy katolickich Japonii. Był to pierwszy tego rodzaju zjazd związku lekarzy katolickich Japonii, który liczy przeszło 400 członków. Zjazdowi, który odbył się w gmachu uniwersytetu katolickiego w Tokio, przewodniczył Mons. Fuenstenberg, delegat apostolski w Japonii. **(L)**

— Ojciec św. Pius XII w Castel Gandolfo. Ojciec św. Pius XII opuścił w dniu 12 lipca Rzym udając się do swej rezydencji letniej w Castel Gandolfo. Wzdłuż trasy, którą przejeżdżał samochodem, witały Go tysiące wiernych. Po przybyciu na Castel Gandolfo powitany został przez kardynała Mikołaja Canali, przewodniczącego komisji kardynalskiej Miasta Watykańskiego, oraz przez miejscowych i okolicznych mieszkańców. Co rano Ojciec św. przyjmuje pielgrzymów i wiernych w Castel Gandolfo na specjalnych tradycyjnych audiencjach zbiorowych.

— Praca misyjna OO. Franciszkanów. Zakon OO. Franciszkanów posiada obecnie 26 tysięcy zakonników, z czego 4.700 pracuje na 106 terenach misyjnych. Prowadzą oni 56 wyższych seminariów duchownych, 6.500 szkół, 185 sierociniec, 60 przytułków dla starców, 496 ochronek, oraz 5 szpitali dla trędowatych. Misjonarze franciszkańscy pozyskują corocznie dla Kościoła około 170 tysięcy pogan. **(L)**

— Sytuacja religijna w Iranie. Według danych „La vie catholique illustrée" z dnia 17 czerwca br. olbrzymią większość 17-milionowej ludności Iranu stanowią muzułmanie. Wszystkich chrześcijan oblicza się na 140 tysięcy, przy czym katolików jest 15 tysięcy, przeważnie obrządku chaldejskiego i armeńskiego. Watykan reprezentuje w tym kraju delegat apostolski, które rezyduje w Teheranie. Wśród misjonarzy obsługujących placówki duszpasterskie przeważają Włosi, Francuzi i Irlandczycy.

— Odkrycie archeologiczne w Słowacji. Ciekawego odkrycia archeologicznego dokonano w Nitrze pod Zaborem w Słowacji. Pod ruinami starych zamków z XII i XIII wieku znaleziono ceramikę, kości i inne przedmioty z I wieku przed Chrystusem, zaś we wsi Dolne Kraskany natrafiono na starodawne cmentarzysko z V wieku przed Chrystusem. W grobach po raz pierwszy w Słowacji znaleziono żelazne przedmioty. W Nitrze, gdzie odkryto 105 grobów, a 300 innych przez niedopatrzienie zniszczono, znajduje się cmentarzysko z X wieku, które uchodzi za największe (1500—8000 grobów) z tego okresu nie tylko w Czechosłowacji ale i w Europie Środkowej. Nie jest wykluczone, że przy dalszych pracach natrafi się na ruiny kościoła, wokół którego tego rodzaju cmentarze odkrywano. W danym wypadku byłby to najstarszy na terenie Słowacji kościół. Prace wykopaliskowe trwają.

— Dyskusje teologiczne. Z prasy francuskiej dowiadujemy się o przebiegu publicznych dyskusji teologicznych, zorganizowanych przez Stowarzyszenie ateistyczne „Libre Pensee" w departamencie Sarthe w kilku miastach. Dwaj mówcy, którzy przemawiali na tematy: „Czy Jezus Chrystus istniał?" (oczywiście: nie) i „Czy można się obejść bez religii?" (oczywiście: można) — okazali się ludźmi bardzo wymownymi, ale nie obeznanymi z dziedziną teologii. Po odczytach odbyła się dyskusja. Zebrania kończyły się z reguły zwycięstwem katolików. W mieście Mamers odczyt na temat zbędności religii wygłosił wolnomyśliciel Lorulet. Po nim przemawiało kilku mówców katolickich, zwłaszcza ks. Clavel, który zupełnie zbił Loruleta z tropu, tak dalece, że Lorulet zrzekł się „ostatniego słowa", a ks. Clavel, wśród oklasków tłumu — o godz. 2

po północy mógł z humorem oświadczyć, że „tego rodzaju zebrania spotykają się z wyrazami wdzięczności ze strony katolików", co Lorulet skwitował daniem brawa katolickiemu mówcy.

— Rozbudowa sanktuarium maryjnego w Pompei. Kardynał Piazza dokonał ostatnio poświęcenia kamienia węgielnego pod budowę nowego sierocinca dla biednych i opuszczonych dzieci w sanktuarium maryjnym w Pompei we Włoszech południowych. To starożytne, położone na stokach wulkanu miasto pątnicze posiadało już przedtem dwa instytuty katolickie dla dzieci.

— Rzadki jubileusz misjonarza. W Ugandzie (Afryka Wschodnia) obchodził tamtejszy wikariusz apostolski O. Henryk Streicher z kongregacji Ojców Białych 60 rocznicę swej pracy misyjnej. Jubilat liczy już 88 lat. Do Ugandy przybył w 1891 r., zastając tam bardzo nieliczne grupki katolików. Dziś jego wikariat apostolski Massaka liczy 14.100 katolików. Uganda liczy ogółem ok. 4 miliony mieszkańców, z czego 1 milion to katolicy.

— Nowi święci i błogosławieni. Na tajnym konsystorzu papieskim uchwalono jednomyślnie kanonizację błogosławionych: Antoniego Giannelli, biskupa założyciela kongregacji Dzieci Najśw. Maryi Panny z Orto; Franciszka Bianchi z zakonu Barnabیتów; Ignacego da Laconi z zakonu Kapucynów, oraz błogosławione: Emilię de Vialar, założycielkę zakonu Sióstr Św. Józefa i Marię Mazzarello, współzałożycielkę zakonu Córek Maryi Nieustającej Pomocy, do którego należy przeszło 7.000 sióstr, poświęcających się w 548 domach wychowaniu dziewcząt. Do błogosławionych zaliczony został Juliusz Maunoir z zakonu Jezuitów, jeden z pierwszych założycieli we Francji domów rekolekcyjnych dla rolników i robotników. Uroczysta proklamacja błogosławionej Emili de Viar i Marii Mazzarello oraz błog. Juliusza Maunoir odbyła się ze zwykłym ceremoniałem w Rzymie w maju i czerwcu.

— Ilość młodzieży studiującej na K. U. Ł. przekroczyła w roku bieżącym 3.000 osób, w tym około 250 księży, kleryków i zakonnic. Studenci pochodzą z terenu całej Polski — z Lubelszczyzny rekrutuje się około 50 procent młodzieży. Około 600 osób mieszka w domach akademickich, ponad 300 korzysta ze stypendiów gotówkowych, ponad 500 — ze stypendiów żywnościowych.

DO CZYTELNIKÓW TYGODNIKA KATOLICKIEGO

Przypominamy o wpłacaniu przedpłaty za „Tygodnik Katolicki" do PPK „Ruch" w Poznaniu na konto P. K. O. V-11831/110

Wydawca: Ordynariat Gorzowski. Redaktor: X. Kazimierz Łabiński. Adres Redakcji i Administracji: Gorzów n/W., ul. Drzymały 35. Telefon 739.

Rękopisów niezamówionych nie zwraca się.

Prenumeratę przyjmuje P. P. K. „Ruch" Poznań, ul. Kantaka 8-9. P. K. O. V-11831/110. Prenumerata miesięczna 2,80 zł, kwartalna 8,40 zł.

Tłoczono w Włkp. Zakładach Graficznych — Zakład w Kościanie — 1105 — 8. 51.

K-2 — 13318 4, 9, 51. Druk ukończono 6. 9. 51.